1847. Nr 36. d. 20 Grudnia ROK 6.

**Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.**

# PRZEGLĄD NAUKOWY

**Treść przedmiotów:** *Poezija:* Pożegnanie, przez Walerego Głowackiego. — Marzenie w gorączce, przez E. G. — *Kronika piśmiennicza polska:* Grammatyka polska T. Sierocińskiego, roz. p. Prof. Kurchanowicza. (Ciąg czwarty).

## POŻEGNANIE.

Miłość—tęczową wyobraźni tkankę—
Bańki mydlane—motyla—kochankę—
Dzieciom zostawmy i tym, co zostali
Na całą wieczność dziećmi i mali.
*Berwiński.*

Ona jutro odjeżdża!—Jutro?—Więc tak wcześnie
Trzeba serce zakrwawić, porzucić marzenia,
Któremi mnie kołysał ciągle, nawet we śnie,
Wzrok jéj, co wieszczym ogniem ducha rozpłomienia!
Biegnę—rączkę jéj białą chwytam w drżące dłonie—
Do ust cisnę—łzą błagam jednéj chwili zwłoki —
Oko moje rozpacznie w jéj źrenicy tonie;—
Lecz łza próżna—i rozpacz—i ten żal głęboki—
Jutro!... ha, precz mi z jutrem! precz mi z taką myślą,
Co z letargu ułudy serce jękiem budzi,
I na wieki przykuta do ziemi—do ludzi,
Nikczemnieje w obrębach co jéj zmysły kreślą.

Myśl Wieszcza, inna—ona po-nad krańce świata,
W roju mamideł i wrażeń natłoku,
Uleci z piersi—zaiskrzy się w oku—
I gdzie wzrok nie dosięga, tam ona dolata!
Myśl wieszcza wielka! bo nad czcze pomysły
Ciemnego świata wszechwiedzą się wzbija—
Ona niebo przenika—znów niebo omija,
Aby popędzić w światy, co za niebem błysły.—
Takiéj myśli jam szukał i dla mojéj pieśni.
Chciałem w sercu rozetlić ten zapał uroczy,
Co pierś żarem rozedmie i oddech przytłoczy,
A dłoń w męstwo uzbroi, o jakiém nikt nie śni.—
Schwyciłem bardon—ale w niebie całém
Próżno zapału—natchnienia szukałem;—
Bo wszystkie myśli—całe moje siły—
I całe życie—tak, wszystko niestety!
Jednym blaskiem olśnione, tam przykute były
Gdzie jaśniał wzrok szatana—anioła—kobiety!
Ha, stało się—dość dziecinnych jęków!
Jutro odjeżdżasz?...... Bądź zdrowa!
Ot moje pożegnanie—więcéj ani słowa.

Wśród ideałów i poezyi dźwięków,
Może niechcący wspomnisz imię moje.
W przezroczu marzeń—w krainie pamiątek,
Może i ja téż znajdę myśli wątek,
I gdy powrócisz—znów bardon nastroję.

**Walery Głowacki.**

# GORĄCZKA.

---

Była to straszliwa męczarnia fizyczna połączona z torturami moralnemi—kiedy mi na łożu boleści, do mózgu chorego, przyszły w odwiedziny obrazy przeszłości, życia cieniami przepełnionego ze swemi rezultatami: niewiarą w ludzi i martwą rozpaczą.—Przepaści czarna—wołałem—grozisz mi pożarciem,—widzę, że na dnie twojém—powykrzywiane twarze ludzi szydzą ze mnie, pokazują zęby, znowu kąsać będą.—Precz mi głupie gady, pstre, śliskie płazy!

— Płazy, gady, ludzie—wołałem i po sto razy powtarzałem—płazy, ludzie, gady!—Patrzaj, patrzaj! jestem w prześlicznem towarzystwie.—Ta jaszczurka, widzisz, to moja dziobata przyjaciółka, patrz jak nabożnie paszczę otwiera żeby zatrutym pyskiem mię skaleczyć—ten płaz, ropucha, przyjaciel, jak się wykrzywia, jak coś szepce, donosi, szpieguje, składa mi przysięgi, podaje rękę; a ten wąż—precz, precz, te uściski twoje śliskie i zimne tak mi palą głowę.—Społeczeństwo! ludzkości! trumno pełna robaków—patrzaj, patrzaj! jak pełzają—uciekaj! bo cię społeczeństwo oblézie, do trumny zawlecze—Wieko zapada—po piersiach moich pełzają różne a różne gady jaśnie jaśnie wielmożne; jakże mi duszno, jakże ciężko—precz mi ty miękka, rozlana, zimna gąsienico, po coś na moich ustach zawisła—puśćcie mię, bo natężę wszystkie siły, odbiję wieko waszéj trumny, zgniotę wasze plugawe robactwo.

— Obłąkanie rośnie, rzekł siedzący obok lekarz, oddziaływanie natury silne—tém zupełniejsze nastąpi przesilenie.

— Cóż to za ręka spadła na mą głowę!—rzekłem znowu spokojniej—ciepła, lekka, promienista ręka!

— To ja—ja twój Anioł-stróż! biedny mój bracie—uspokój się.

— Mój Anioł-stróż! wierzę, wierzę! bo już czuję twą dobroczynną siłę—pod twoją dłonią tak mi lekko—zdaje mi się, że śpię i marzę, że widzę kraj jakiś czarowny, którego każden kwiatek, każdy listek jasny tchnie życiem samych tylko szczęśliwych chwil.— Sen-że to?—czylim ja znowu wrócił do nieba? dla czegóż ja tylko kocham wszystko—dla czegóż wszystko tutaj tchnie samą tylko miłością—trawki tak zlekka się chwieją, a ja słyszę głos ich—kwiaty tak niewidocznie mienią swe barwy w powietrzu, a ja widzę ich uśmiech czarowny—czy to śpiew, czy to muzyka barw tęczowych, czy to wonne tchnienie twoje mój aniele-stróżu!

— To promyk światła oderwany ztamtąd skąd lecę, zawisnął na mych białych skrzydłach—widzisz to światło promieniste?

— Widzę, widzę!—i oblicze twoje śród niego widzę—oblicze takie słoneczne a tak łagodne—więc to kłamali na świecie mówiąc, że w twarz mieszkańców nadziemskich nie można patrzéć jak w twarz słoneczną.

— Prawda — ale źli tylko nie znoszą naszego oblicza. — Bracie! kiedym tu zstąpił dla czegóś ty bluźnił?

— Ja niewiem—widma mię otoczyły, wspomnienia siadły na piersiach, w mózgu mym szalał pożar—dopókiś ty go nie ugasił.

— Biedny mój bracie—ja cię tak kocham—bo i twojém przeznaczeniem równie jak mojém patrzeć w oblicze Boga.

— Ach! gdyby prędzéj—powiedz—czyż cierpieć tutaj—długo jeszcze będzie sądem moim ziemskim!

— Cierpieć!—gdybyś cierpiąc wznosił duszę w niebo—cierpienie by twoje nawet, było roskoszą niebieską. Biedni wy ludzie! nie przez to, iż męki ziemskie są waszym udziałem—ale że upadacie pod niemi.

— Więc daj mi siłę potężną abym mógł wzgardzić boleścią ziemską.

— Siła jest w tobie samym bracie mój—ja ci dam tylko lekarstwo na twój żal zbyteczny przeszłości, na twą szlachetną dumę pragnącą

widzieć i działać, co nie w twéj mocy.—Oto masz perłę przezroczystą, z blaskiem diamentu, ale nie tak jak on twardą, płynną jak strumień Edenu i ciepłą jak tchnienie czystéj miłości—oto masz—spuszczam ją na twe czoło.—Chcesz wiedzieć co to jest?

— Co to jest! co to jest mój bracie aniele!—w duszy méj znowu cisza i siła! —jam zdrów— ja przebaczam wszystkim i wszystko— usypiam bez trwogi pewny obudzenia z roskoszą—ale bracie mój, aniele! powiedz zkąd ten balsam?

— To łza kochającéj, cnotliwéj sieroty! Opowiem ci jéj dzieje: Usnąłem śród błogiego marzenia;—nie usnąłem, uśpiły się tylko zmysły moje a otworzyły się wrota duszy i głos anioła wstąpił w nią i pisał literami nieśmiertelnemi dzieje kochającéj cnotliwéj sieroty. I dusza wtedy pracowała.... a siedzący z boku lekarz rzekł do stojącego smutnego młodzieńca: bądź spokojny, zasnął, przesilenie gorączki już się szczęśliwie odbywa—obudzi się zdrowym.

---

I mówił mój anioł-stróż.

Było to w chwili błogiego, niepojętego dla was zatopienia się méj istoty, w niebiańskiém widzeniu; w koło mnie duchy niewiniątek żeglujące na słonecznych obłokach, w ciszy czekały aż skończę wonną modlitwę do Stwórcy i połykały stubarwne promienie roskosznéj tęsknoty méj duszy—była harmonija w około—kiedy głos z góry zabrzmiał nademną „zstąp na ziemię boleści.”— I duch Przedwiecznego wskazał mi mój cel—zstąpiłem na znaną mi ziemię i stanąłem nad łożem umierającéj kobiety.

Schorzała i zniszczona—gorzało jéj życie przyspieszonym płomieniem, ale oczy już gasły—myśl tylko zgartywała ostatki pamiątek, ostatki marzeń na przyszłość, ostatki trosk ziemskich—a napełniona niemi, była ciężką jak ołów—ołowiem padła na jéj duszę, bo to była myśl matki żegnająca dziecie jedyne—pojmująca przyszłość téj kochanéj sieroty, któréj już niczém pomódz nie zdoła, niczém, nawet łzami i czuciem wiecznéj miłości—biedna zapomniała o modlitwie! gorzko było w jéj duszy—obróciła wzrokiem w koło, szukała dla siebie

pociechy, szukała choć lichéj nadziei...... nie było i tego—przy jéj łożu klęczała młoda dziewica, rękami obejmowała ziębnące nogi matki, twarz zatopiła w ubogie pokrycie jéj stygnącego ciała—konwulsyjnemi pocałunkami chciała przymusić śmierć do ucieczki—nie miała łez nawet, chciała żeby cały ogień jéj mózgu mógł swym płomieniem rozgrzać umierające ciało matki.

Wychudłe ręce choréj upadły na jéj głowę, oczy wzniosły się w górę—nie rzekła słowa—błogosławiła ją całą potęgą duszy—biedna! czemuż nie wierzyła w błogosławieństwo—czemuż zwróciła oczy znowu na ziemię, i uwierzyła raczéj dotykalnym męczarniom tego świata, aniżeli przeczuciu czerpanemu w niebie.

— Za nic! zawoła słabym głosem, więc muszę cię zostawić biedną sierotą, bez przyjaciół, śród nędzy, ubóstwa i ludzi nieprzyjaźnych.

Na te okropne prorocze słowa dziewczyna się porwała, załamała ręce i wzrok pełen rozpaczy zatopiła w lica choréj.

— Jakaż twoja przyszłość biedne dziecko! jaka!—i schorzałą ręką przycisnęła czoło z całą mocą rospaczy.

— Nie lękaj się, Bóg nad nią czuwać będzie, rzekłem moim głosem niebieskim.

— Dziecie cnotliwe—jedno tylko przeczucie mówi mi, iż Bóg nad tobą czuwać będzie— ale ludzie... ludzie.... ach! nad twoją kolebką był anioł szczęścia—nadzieja, bogactwo, świeciło ci gdyś była dzieckiem.... a dzisiaj.... biedna dziewczyno, dzisiaj matka zostawia tobie w spadku tylko puste kąty téj nędznéj, zimnéj chaty i zwłoki swoje owinięte w biedne łachmany.

— Uspokój się matko, zawołała z rozpaczą dziewczyna—wszakże mi zostanie jeszcze ojciec—niech cię to pocieszy—matko! wszak i ciebie Bóg mi nie wydrze, ja się do niego modliłam i modlę—ja mu ufam, wszak on ojcem nieszczęśliwych.

I znów upadła na łono matki i całowała i oblewała łzami jéj ręce—i jam przy niéj klęknął i modlił się do Stwórcy, aby nieodbierał sierocie wszystkiego tak nagle, a głos z góry rzekł mi:—czuwaj, aby jéj dusza nie uleciała do mnie splamiona rospaczą.—Stało się więc, zawołałem w sobie, cześć Tobie!—i czucie mego serca promienistym

strumieniem wylałem na głowy dwóch nieszczęśliwych ściskających się objęciem najwyższéj miłości. Były już spokojne, bo duch mój był nad niemi.

W téjże chwili drzwi się otworzyły i wpadł gwałtownie jakiś człowiek—odzienie miał w nieładzie, włosy rozrzucone, twarz dziko wykrzywiona, nie spojrzał nawet na dwie nieszczęśliwe choć jedną była żona, a drugą córka jego—rzucił się tylko na krzesło i obu rękami konwulsyjnie wyciągniętemi zakrył twarz wybladłą. Przeląkłem się i odwróciłem twarz, bo jego dusza stała przed mym wzrokiem czarna i splugawiona.

— Janie, drogi Janie—ozwał się konający głos z łóżka—co ci jest, przyjdź tutaj—więc zupełnieś o mnie zapomniał?

I wzniosła głowę nad poduszki, chudemi łokciami wsparła się o nie, wzrok zatopiła w postaci męża—pojęła wszystko i opuściwszy bezsilne czoło na piersi córki, zaczęła gorzko płakać.

Przecież skończyły się te najboleśniejsze chwile milczenia, on powstał, przystąpił do jéj łoża, patrzał na nią wzrokiem dzikim i bez serca, i boleśny a jednak szyderski i piekielny uśmiech, przebiegł mu po twarzy. Wstrząsnął kilkakroć głową, uderzył z całą siłą kułakiem o stół i krzyknął z furyą:

— Przeklęctwo na nas! na cośmy byli niegdyś tak głupi i szaleni żeśmy podali sobie ręce?—Miłość! żona! córka! tortury moje. Jam powinien być sam—to piekło, co w méj duszy dzisiaj, byłoby tylko półpiekłem a teraz z wami ono potrójne!

— Janie, zlituj się!

— Zlituj się! Zawołał śmiejąc się i płacząc razem z szatańską rospaczą—czemuś ty się nie zlitowała w téj okropnéj chwili, którąśmy nazywali szczęśliwą, czemuś nieodtrąciła mię—wszakżeś wiedziała żem duszę zaprzedał szatanowi... żem szuler. Chciałażeś mię zamienić w anioła, zarozumiała, czcza kobieto—czy ci tylko męża potrzeba było—nikczemna rospustnico.... jedno czy drugie, twoja wina.... a dzisiaj....

I zaciśnięte pięście wymierzył nad jéj łożem i zgrzytnął z wściekłości zębami. —Jam stanął wtedy nad łożem,— położyłem rękę na

jéj sercu—była spokojna, przebaczyła.... konała. A on zaślepiony furią wołał daléj.

— A teraz ratuj się—teraz dawaj pieniądze, brylanty wyprawne, nie wszystkoś jeszcze oddała, gdzie reszta! -twój mąż pójdzie do więzienia, rusztowanie go czeka—on się zhańbił, spodlił, on oszukiwał, fałszował, kradł—on.... dawaj pieniądze! kobieto! ratuj dawnego kochanka—przypomnij jego pocałunki, uściski.... wszystko com ci sprzedał! i chwycił za jéj rękę.... co już była zimna.

— Umarła! krzyknął z rozpaczą i gorzką zgryzotą—i ręce jak miał wytężone, skostniały.

— Umarła, boleśnie ozwał się głos drugi. — Ojcze, ojcze! litości dla méj matki—i upadła na jéj martwe ciało pragnąc całą siłą swéj rospaczy i miłości przywołać napowrót kochanego ducha.

— Pozwólcie, pozwólcie ja umrę z nią razem—wołała broniąc się natrętowi, który ją odciągał od zwłok matki.

— Dosyć, dosyć dobra panienko—od tego żalu możesz zachorować, szkoda twéj młodości, twéj piękności—mówił ów natręt jakiś obcy wytwornie ubrany, już stary, łysy i otyły, z którego twarzy jednak widać było, że świat ta płocha syrena jeszcze mu śpiewała nutę roskoszy i przeszkadzała zajrzeć w serce własne, pomyśléć o przyszłości.

— Pozwól mi panie—tylko chwilkę jednę, błagała całując jego ręce—dobry panie ja muszę zostać z nią, bo ja prócz niéj nic niemam!

— Nie, nie—to byłaby litość nielitościwa rzekł nieznajomy.—Patrz pani jak twój ojciec cierpi, patrz jak płacze na kolanach twéj matki, powinnaś mu pomódz, ratować.

Głos ten jednak nie był obcym dla wszystkich — na dźwięk jego ocknął się ojciec biednéj sieroty, porwał się z miejsca i z roziskrzonym wzrokiem przyskoczył do nieznajomego.

— Czego tu chcesz? zawołał.

— Czego?— odrzekł z szyderską grzecznością nieznajomy—pan to powinieneś wiedzieć najlepiéj czego—pan, który przewidujesz jakim sposobem najlepiéj pozbywać się wierzycieli—przyniosłem panu skrypt wydany dla pana przez F., darujesz że ja go śmiem uważać za nieważny i proszę o pieniądze.

— Nieważny, odrzekł Jan zapłoniony—pieniądze.... i zmięszany sam niewiedział co mówić.

Postrzegł to nieznajomy i wziąwszy go z udaną grzecznością za rękę, rzekł cicho ale głosem stanowczym:

— Panie Janie! to skrypt fałszowany, mam dowody— ale ja niechcę pańskiéj hańby, ja chcę uczciwéj zgody—a kończąc z całą łagodnością te słowa, przenikliwym wzrokiem przypatrywał się wybladłéj, na wpół omdlałéj postaci biednéj dziewczyny. Panie Janie, kończył, czy to pańska córka?

— Moja.

— W istocie ładna dziewczyna.... możemy z sobą układ zrobić: pan mi pieniądze wypłacisz późniéj a ja skrypt zedrę.... Więc biedna córka twoja zostanie bez matki—wartoby jéj znaleść dobre miejsce. Panie Janie! mam nadzieję, że będziemy dobrymi przyjaciołmi gdy skrypt zedrę, nieprawdaż?— Moja siostra mogłaby przyjąć córkę pana, jest to bogata osoba, ma także córkę, to będzie miłe towarzystwo. A mówił to wszystko tonem coraz łagodniejszym, a w jego otyłéj postaci i twarzy, pozbawionéj wszelkiego wyrazu myślenia, przebijała się brudna myśl—tak często jaśniejąca na twarzach bogatych egoistów, którzy radzi widzą cnotę zdeptaną jeśli im z tém wygodnie, którzy w końcu nie widzą cnoty—zwą ją ideałem, marzeniem, głupstwem, szaleństwem. — Mądrzy! bo umieją codzień na nowo zaostrzać podniebienie stępiałe.— Potężni! bo się ważą codzień nowy pocisk wymierzyć w cnotę. Zbadałem duszę tego nikczemnika, zakryłem twarz dziewicy—kiedy nikczemny ojciec chwycił ją za rękę i rzekł przyciągnąwszy do siebie:

— Zofijo! ten pan jest moim przyjacielem, dobroczyńcą, szanuj go, bądź mu posłuszną.

— Ojcze! ojcze! jeszcze duch matki czuwa nademną—mnie nie potrzeba obcéj opieki—zawołała dziewczyna.

— Duch matki, moja panienko,—rzekł szyderczo nieznajomy, nie sprawi sukienki—a ja będę o tém pamiętał.—Panie Janie! więc dobrze przyślę tu wkrótce powóz mojéj siostry po twą biedną córkę—do zobaczenia—dobre dziecie!

— Nie, nie—mnie nikt z moją matką nie rozdzieli.

— Nieznajomy stanął raz jeszcze we drzwiach, spojrzał przypadkiem na trupa żółtego biednéj matki—skrzywił się z nieukontentowaniem, spojrzał potém przenikliwie na biedną dziewicę, w twarzy jego widać było lodowatą, rachunkową myśl kupca przezierającego z zimną rozwagą swój towar.—Nikczemnik, wówczas-to pomyślał co za roskosz mieć taką dziewczynę w swojém ręku—i odtąd los biednego dziewczęcia był zaliczony w godziny bogatego egoisty razem z obiadem, polowaniem i innemi jego przyjemnościami.

— Biedna sierota! zawołałem z westchnieniem.

— Tak, powtórzył mój anioł-stróż, biedna sierota!

---

Po smutnéj zimie znowu na waszą ziemię tchnienie duchów niebieskich wionęło ciepłem wiosennėm.—Znowu i w serce sieroty zawitała nadzieja—bo i sierota uczuła potrzebę miłości—kochała. Jéj nowa opiekunka szlachetne miała serce, kochała ją jak córkę własną i nie dziw, z córką wiązała ją tylko krew, a z nią dusza wspólna.—Czemuż serce biednéj sieroty niepoprzestało na tém szczęściu a chciało kochać jeszcze więcéj?—Czemuż przyczepiła duszę do tchnienia egoisty, który w okręgu swych myśli buduje tylko szafod dumie—szafod, bo na nim przypłaci życiem, wszystko co szlachetne, co duchowe. Biedna sieroto! myślałem nieraz stojąc nad jéj łożem i patrząc na jéj pogodne uśpione lice, po którém latała reszta odblysków roskosznego marzenia o kochanku—nieraz zwątpiwszy o własnych siłach, postanawiałem obudzić trwogę w jéj duszy—dobroczynną trwogę, coby ją może łzami zalewała, coby widmem zmarłéj matki przerażała, coby może z czasem zwlekła z jéj pięknego ciała powłokę ponętną—ale któraby duszy jéj wróciła spokój—i zapewniła tę czystość diamentową niebios, w niebie tylko ocenioną. Gdzież twoja modlitwa? szeptałem śpiącéj—wszak ty duszę twoją pośród niéj, dzielisz między Stwórcę i proch nędzny, nie westchniesz już ku niebu tak swobodnie jak niegdyś—dzisiaj westchnienie twoje ciężkie, ziemskie, za ziemią goni i ciężarem ziemi przygniata piersi twoje—Nieraz budziłem w jéj łonie

podejrzenie—nieraz wspomnienia przeszłości zwoływałem—malowałem jéj igraszki dziecinne—pierwsze niewinne sny dziewczęcia w których bracia moi aniołowi patrzali w jéj oblicze—Wieleżem ją razy rzucał w uścisk matki zmarłéj—płakała w jéj objęciach, przysięgała że ją tylko jednę kocha, a jednak obudzona z porankiem, pierwszą myśl swoją oddawała, nie pamiątkom méj rozmowy nocnéj, ale wspomnieniom tego samoluba, któremu oddała duszę, a który w niéj kochał własne tylko namiętności.

Daremna była moja praca;—wówczas powiedziałem sobie: pójdę do tego szczęśliwego śmiertelnika, pojmę co on myśli—czy on zdolny jest tak jak ja ją kochać—Stwórca mi przebaczy, że mą szatę białą owieje pył ich ziemskiéj głupoty, pójdę...

I już byłem przy nim — a on! on leżał u nóg innéj kobiety..... mój Boże! tyle niewdzięczności—zdaje się, że tam gdzie on przysięgał i kłamał, tchnienie biednéj sieroty dolatywało jeszcze—słyszałem jéj oddech—nawet promienie jéj duszy wiecznie za nim goniącéj, owijały czoło jego—niecne czoło samoluba, który poniżał się, bo nie kochając téj drugiéj pozwalał jéj deptać własną głowę. Dotknąłem palcem gniewu jego czoła, ozwało się sumienie — ozwało się, aby je sam zabił.

— Julio! może cię niepokoi moja znajomość z tą sierotą? lituj się razem ze mną nad nią i jeśli możesz, jak ja pocieszaj ją, dając jéj cząstkę swego serca, bo ona.... biedna sierota.

Nędznik! wykrzywił głos swego sumienia, własną nikczemność pokrył udaną cnotą—w jego duszy było wtedy napisano: ja cię nie kocham, ja ją kocham, bo ona sto razy od ciebie piękniejsza i szlachetniejsza, ale ja ciebie muszę kochać—udam—boś ty bogatsza, bo z tobą świat będzie dla mnie ucztą rozpustników. — Słyszałem daléj nędzne, karłowate wyrazy ich uczuć, w koło nich widziałem tylko ciemność trwożącą, co mi przypominała wiekuiste cienie potępienia.— Widziałem potém jak do tej ponuréj, z duszącém powietrzem ich roskosznych woni, komnaty, wszedł inny człowiek — znajomy mi, ów spekulant na młode dziewicze ciała—który o swym podłym handlu nie umiał zapomnieć nawet przy łożu świeżego jeszcze trupa. Tenże

sam rumiany, ze lśniącą łysą głową, z wygładzoną twarzą, jeszcze zdał mi się otylszy, tak nędzną powłokę jego rozparła duma, żądza i ten dym ziemskich namiętności, co nawet w chwili gdy jest roskoszą ciała, męczy je a męczy sto razy więcéj duszę.— Zarumieniona jego przyjściem dziewica, wyszła — on sam został z młodzieńcem. Z przenikliwém spojrzeniem i uśmiechem zwrócił się ku niemu i rzekł:—Więc tedy panie Zygmuncie nieprzystając przystałeś na me zdanie.—Zgoda! zgoda! rozumiemy się i nie będziemy sobie przeszkadzali—odtąd my przyjaciele.

I piekielnie śmiać się obaj zaczęli, i piekielnie się obaj uścisnęli— a tam na świecie nazwaliby to uśmiechem niewinnéj zabawy i uściskiem przyjaźni.

— Ta twoja sierota jest harda—mówił znowu ów pan otyły—broni ją tylko siostra moja—dobra, prosta kobieta—gdyby nie to...... i zaczął się śmiać całém garłem.

— Gdyby nie to—jużby nowy listek przybył do twoich laurów— dokończył młodzieniec—a wesołością nieudaną dokończył sądu na swą nikczemność.

— Jakże idą interessa z panną Juliją.

— Jak dotąd dobrze—szkoda tylko że za nadto oddycha romantycznością.... bo wiesz, drogi kuzynku, jak to już dawno zwietrzałe.

— Dziwnyś człowiek, przecież to właśnie lubiłeś w twojéj sierocie. Od dzisiaj, twojéj, kuzynku—puszczam ci ją prawem lennem,—wreszcie gdy zechcesz... dziedzicznem.

Duch mój się oburzył na obraz ich nikczemności—uleciałem z téj zaduchy przedajności i zbrodni, za mną tylko został promień mego gniewu—szczęśliwi! gdyby ich dotknął—bo możeby zbudził uśpione sumienie.

Biedna dziewczyno! myślałem—gdzież dla cię znajdę pociechę— tam—tam! — i leżałem u stóp Stwórcy—i zasilony tchnieniem Jego biegłem do niéj na pomoc.

Usypiała tak roskosznie gdym stanął u jéj łoża—sny ziemskie objęły jéj czoło—dusza jéj bawiła się wspomnieniami tak niedawnemi, a tak płomienistemi razem, iż się napawała niemi jakby samąż rosko-

szną teraźniejszością.— Piękna, młoda duszo, rzekłem do niéj boleśnie—czyś ty szczęśliwa, czyż to szczęście? a usta jéj szeptały zcicha: Jakżem szczęśliwa!

— Biedna duszo! i toż więc szczęście żeś niewolnicą nędzniejszéj od ciebie istoty?—rzekłem znowu. Dziecie moje! jam cię pielęgnował dotychczas jak młodszą siostrę, jak połowę swojéj duszy—a tyś o mnie zapomniała—ty nawet się ze mną nie witasz, — przychodzę do ciebie we śnie tylko, bo dzień cały oddałaś światu, oddałaś jemu—a i we śnie nawet z nim tylko mówisz—tyś szczęśliwa! o nie, ty nie jesteś szczęśliwa, tylko obłąkana. Dla czegóż płaczesz i kryjesz się przedemną siostro moja?—obejm mię lepiéj dłońmi swemi—ja cię owionę moim oddechem niebieskim—ja ciebie wyratuję z przepaści. Niechcesz? Biedna, już więc nie ma w tobie duszy.... ona pobladła nad tobą lata—siostro moja! ona gotowa ulecić i zostawić piękne twe ciało na wolę chaosu ziemskiego.

— Ja go tak kocham....

— Ale on niegodzien tego siostro moja—ty się gniewasz—o wiem, widziałem cię wczoraj tam razem z nim; płakałem nad tobą gdy on ci ręce całował—twoja sukienka była tak białą—róża co w twych rękach kwitła, kwitła tak wesoło,—siostro moja! a ty chcesz zaćmić blask twéj białéj sukienki, ty obrywasz listek po listku twéj kwitnącéj róży.—Co on ci mówił biedna sieroto!

— On mi przysięgał—że moim będzie na zawsze.

— Dziecie obłąkane, mylisz się, ty będziesz jego własnością, on tobą pomiatać będzie, ciało twe będzie jego igraszką, sprzeda je lub daruje komu zechce—bo on nie pojmuje twéj duszy jasnéj, promienistéj—bo jego jest czarna, żelazna. Okropny los cię czeka—tyś sierota! oni będą ucztowali, ciebie odpędzą, albo każą być cackiem ozdabiającém ich tryumf... Oni ziemscy, im roskoszy ziemskich, bogactwa ziemskiego potrzeba—a twoja dusza nie z ziemi stworzona i nie do ziemi przeznaczona.

Ona przez sen gorzko płakała i ja płakałem—bom ja duszę jéj bardzo kochał, duszę jéj zawsze czystą, jasną i zawsze biedną.

— Zosiu kochana, rzekłem głosem jéj matki owinięty obłokiem wpółprzejrzystym—a ona myślała, że do niéj matka zstąpiła i wyciągnęła białe drżące ręce za widmem kochaném i cisnęła je do wzdętych boleścią i szczęściem piersi. — Dobrze ci tak moje dziecie, myślałem—baw się raczéj snem cnotliwym aniżeli nikczemną rzeczywistością—i znowu rzekłem głosem matki:—Zosiu! ty dzisiaj zamykając oczy do snu, nie zaniosłaś czystéj modlitwy Bogu, nie westchnęłaś do mnie—jakiś obcy, zły człowiek stanął między nami i niepozwala ci abyś mnie kochała.

— Nigdy, nigdy droga matko, krzyknęła we śnie dziewczyna—ja modlić się będę bez niego, ja go odtrącę.

Była wzruszona, cierpiała—znów się do niéj zbliżyłem i dłoń moją na jéj czole położyłem — i znów duszę owiałem wspomnieniami dawnego dziecinnego szczęścia, i kwiaty i ptaszki, i aniołowie, i harmonia, i obrazy gór i dolin roskosznych — wszystko zmieszało się w jednę melodję, którę bez kłamstwa można nazwać szczęściem, bo szczęścia u was niéma.... tylko we śnie takim.

Już promień wstającego słońca przeciskał się do jéj okna—już jéj dziewicze ozłocił czoło, a jeszcze dłoń moja leżała na jéj czole, jeszcze moje tchnienie poiło jéj duszę. — Wtém—ktoś wszedł do komnaty—odstąpiłem od łoża.... była to jéj przybrana matka — w ręku trzymała świeżą majową różę, przystąpiła na palcach ku śpiącéj, złożyła w jéj dłonie kwiat świeży i lekkim pocałunkiem dotknęła czoła.—Ocknęła się sierota, uciekły jéj sny niebieskie, bo pocałunek ten jakkolwiek szczery i cnotliwy, był tylko ziemskim pocałunkiem.

— To ty, dobra opiekunko moja.

— To ja Zosiu — przyniosłam ci wiązanie na twe dzisiejsze imieniny, niewinne jak ty wiązanie.

Sierota i różę i rękę swojéj matki przybranéj oblała łzami wdzięczności i szczęścia.—Wstań Zosiu, wstań prędzéj— dzisiaj dla nas wszystkich dzień wesoły, bo twoje imieniny uświetnią się i mojém szczęściem.

— Jakiém, jakiém?—pytała zachwycona sierota,—ale po co mi o to pytać, dosyć że twoje szczęście—a więc i moje.

I zerwała się z łóżka i białe nóżki biegły już po posadzce, i koszulka wpół kryjąca jéj obłoczkowe ramiona latała razem z myślami obwijając ją jak lekkie szaty moich siostr aniołów.—Tańczyła ubierając się—westchnąłem przeczuwając jéj boleść—biedna sieroto! rzekłem, ich szczęście nie będzie szczęściem twojém.— Głos mój wpadł w jéj duszę—jakieś bolesne przeczucie przeniknęło ją i białe ręce złożyła na piersiach jak do modlitwy—stanęła w myśli moja z nią we śnie rozmowa, i przeszłość i matka.... łzy nie mogły się już zmieścić wezbrane w ciemnych oczach, strumieniem spłynęły po świeżych licach, spuściła smutny wzrok ku ziemi i zlekka wymówiła z boleścią: Jam tylko biedna sierota—i jak stała klęknęła z modlitwą.—Jam był przy niéj i pocieszałem mówiąc:—nie bój się biedna sieroto, Bóg nad tobą czuwa.

---

Ten dzień imienin był dniem najstraszliwszych goryczy—uderzył w nią piorun niespodziewany w chwili gdy była najweselszą.—Opiekunka przystąpiła do niéj mówiąc: Zosiu! powinszuj mojej Julji.

E. G.

# KRONIKA PIŚMIENNICZA POLSKA.

Grammatyka Polska, ułożona przez Teodozego Sierocińskiego, Professora języka polskiego i literatury w Instytucie Aleksandryńskim. Część 2ga. Z załączeniem nauki o postaciach retorycznych, o wierszowaniu, i o stylu.

(Ciąg czwarty.)

Czytając odpowiedzi p. S. na rozbiory dzieł Jego, mógłby kto mniemać, że p. S. jest wielkim purystą językowym. W odpowiedziach tych bowiem, zamiast naukowego wyjaśnienia rzeczy, zwykle narzeka na recenzentów, że psują język wprowadzeniem form niewłaściwych; a które jednak we własnéj tworzy wyobraźni. *) Ale bliższe przypatrzenie się jego grammatyce rzecz tę we właściwém przedstawi świetle. Nie tylko p. S. wprowadza obróty cudzoziemskie, ale je uświęca prawidłami. Wartoż było silić się nad ukuciem przepisów tworzących § XXV (str. 23 i 24) dla wprowadzenia do polskiego języka gallicyzmów: *Kiedy się jest ciągle szczęśliwym*; *kiedy się nie jest pewnym czego.* — *Im się jest wielowładniejszą panią?* W jakim też celu p. S. na str. 51, w uwadze 2, mówi: „Słowo główne w trybie bezokolicznym położone używa się ze słowem... *musieć*, *na oznaczenie domysłu* np... *musi*, albo *musiał* on być w domu o téj godzinie?"

*) Oto są niektóre w tym względzie wnioski p. S.: „Czekać tylko potrzeba, aż nam kto doradzi mówić i pisać: *książka wydana tobą*, zamiast *przez ciebie*." (Bibl. War. T. XXIII. str. 84). „Przyjąwszy więc takie zakończenie (*ija*, *yja* np. *teoryja*) w imionach własnych cudzoziemskich, pozostałoby jeszcze krok tylko zrobić od wyrazów cudzoziemskich do swojskich, od rzeczowników do przymiotników, a *podług tak zreformowanéj pisowni wypadałoby pisać*: *dobryj*, *złyj*, zamiast *dobry*, *zły*." (Bibl. Warsz. zeszyt sierpniowy z r. 1847, str 362).

Wszakże tę niemczyznę sam nawet potrafił zastąpić polskiém wyrażeniem „*zapewne jest* albo *zapewne był w domu.*"— Przytoczona uwaga kończy się jeszcze temi słowy: „Mówi się także *musisz* albo *musiałeś już dawno o tém wiedzieć*, zamiast *pewnie wiész* albo *wiedziałeś dawno*. Nie jestże to propagacyja germanizmów?— Obaczmy jeszcze jeden szczegół. Był czas kiedy się u nas z zapałem zajmowano źródłosłowem i słoworodem. W owéj epoce albo bez względu na harmoniję wyrazów wtrącano niepotrzebne głoski, np. *serdce*, *obwarzanki*, *garnki*; albo powierzchownie rzecz biorąc, odnoszono wyrazy pochodne do innych pierwiastków, niż należało, np. *srokaty* zamiast *strokaty* (*pstrokaty*, *pstry*). Wówczas niektórym zdawalo się, że porównawcze przysłówki polskie *im—tym* należy pisać *czém—tém*. Jakże sobie z temi wyrazami postąpił p. S.? Oto siadając na dwóch stołkach, zatrzymał *im*, a zaś *tym* zamienił na *tém*. Warto jednakże było zastanowić się nad takiém przetwarzaniem wyrazów. Co się już wyrobiło w języku, co stanowi jego własność, jego cechę, tego nie godzi się samowolnie zacierać i niszczyć. Dla wyszukania dowodów, że przysłówki porównawcze *im—tym*, wyrobiły się w polskim języku i są używane, nie trzeba nawet udawać się do dzieł Gornickiego, Skargi, Krasickiego i innych; dosyć było otworzyć Słownik Lindego.

W trudniejszych zdarzeniach p. S. ma na pogotowiu pewne wyrazy, które tém są u niego, czém X w algebrze; z tą jednak różnicą, że X w zrównaniu algebraiczném za pomocą oznaczonych ilości, stać się może wiadomém; a zaś *iksy* pana S. pozostają bez żadnego znaczenia. Takim jest np. wyraz *wzgląd*, którym się wiele rzeczy w grammatyce pana S. rozwiązuje. Są u niego nie tylko *zaimki* i *słowa względne* (Gram. Cz. I. str. 57 i Cz. II. str. 51); tudzież *względy* w oznaczeniu zgody słowa osobistego z podsądnikiem (str. 17), *względy* zachodzące w użyciu wyrazów dopełniających (str. 31) i t. p., ale są nawet przypadki *bezwzględne* i *względne* (str. 31). Do *bezwzględnych* policzone są 1 i 5, a reszta do *względnych*, z takiém objaśnieniem: „Przypadek 1szy żadnego nie oznącza względu, ale tylko służy za podsądnik lub przysądnik w zdaniu, a przez przypadek 5

wzywamy drugą osobę do słuchania lub czynienia. Inne zaś przypadki, względnemi zwane, służą do oznaczenia *rozmaitych względów*, których wszystkich nie mogąc wydać właściwemi sobie zakończeniami, przybierają w pomoc albo raczéj posługę przyimki." Jeżeli przez przypadek 5 wzywamy drugą osobę do słuchania lub czynienia, zatém, używając wyrazu *wzgląd* w znaczeniu, jakie mu p. S. nadaje, powiedzieć możemy, że 5 przypadek, oznacza *wzgląd wzywania*. Podobnież 1 przypadek służąc za podsądnik, służy razem do nazywania rzeczy, zatém może wyrażać *wzgląd nazywania*. I tego rodzaju *względy*, będą może zrozumialsze, aniżeli te *rozmaite względy*, które p. S. przyznaje innym przypadkom. Jeżeli w składni trzeba było koniecznie oddzielić 1 i 5 przypadek od innych, to czy nie byłoby dogodniéj nazwać je *niezależnemi* czyli *nierządzonemi* od innych wyrazów, zostawując nazwę *zależnych* czyli *rządzonych* dla reszty przypadków. W rzeczy bowiem saméj, rzeczowniki w 1 i 5 przypadku użyte, nie podlegają rządowi innych wyrazów; w pozostałych zaś przypadkach, zostają pod wpływem, jaki na nie wywierają inne wyrazy. Drugi sposób rozwiązywania trudności grammatycznych u pana S. polega na wprowadzeniu pytań, o których uczony Mroziński *) mó-

*) Uznane są powszechnie naukowe zasługi J. Mrozińskiego, którego dzieła stały się teraz główną podstawą dla prac grammatycznych nad polskim językiem. A jednakże p. S. ma go sobie za nowatora i na równi z Suchorowskim kładzie (Bibl. Warsz. T. XXIII, str. 74.—Ale czyż temu dziwić się będziemy, widząc pisarza, który orlim lotem wznosi się nad wszystkich krajowych i zagranicznych grammatyków w następnych wykrzyknikach: „Miałemże z *Jakubowicza* wypisać zgodne z jego widokami i razem *najnieudatniejsze* określenie (słowa)!.. albo może lepiéj było powtórzyć za *grammatykami francuskiemi* (obyśmy jednak im tylko dorównać zdołali) i *Mrozińskim*.... albo wreszcie powiedzieć z *Wostokowem*... i t.d. (Bibl. Warsz. Tom XXIII, str. 72). Lecz jest to tryb zwyczajny p. S. że chcąc siebie wywyższyć innemi pomiata. Dosyć tu byłoby wspomnieć jego recenzyję dzieła p. Żmichowskiéj, w któréj najszanowniejsi ludzie i przytém dobrzy i zasłużeni pisarze najnieuważniéj zdeptani zostali. Trzebaby wreszcie dać pokój Francuzom. Nie dosyć jest poznać ich z książeczek używanych u nas do nauki francuskiego języka. Trzeba pamię-

wi, że nic w użyciu przypadków nie wyjaśniają; bo jeżeli powie się uczniowi, iż na pytanie uczynione w 2gim przypadku, rzeczownik w odpowiedzi kładzie się także w 2gim przypadku; uczeń zapyta, a kiedyż pytanie mam kłaść w 2gim przypadku? (Odp. na recenzyję str. 236).—Pomimo jednak tego ostrzeżenia, u p. S. pytania tak wielką rolę grają, że im się nawet rząd przyznaje. „*Nawet przysłówki pytające domyślne*, takiemi są mianowicie: gdzie? którędy? kiedy? jak długo? z których dwa pierwsze są na wyrazy dopełniające, a dwa drugie na określające; *mają rząd sobie właściwy*, np. *strumień płynie przez łąkę*; tu słowo *płynie* położone jest *bezrządnie* (sic), a wyraz *przez łąkę rządzony jest* od domyślnego przysłówka *pytającego którędy?*" Tymże sposobem objaśnione jest użycie 2go przypadku w przykładzie „*dnia dzisiejszego* byliśmy w kościele", który ma być rządzony od domyślnego pytania *kiedy?* (str. 30, uwaga 2).

Kiedy więc taką potęgę p. S. przyznaje pytaniom i to jeszcze domyślnym, nic przeto dziwnego że jego przepisy o użyciu przypadków a mianowicie 2go i 4go są niedokładne, a wykład użycia przyimków niezależnie od słów—nielogiczny. Ogólna ta uwaga uwalnia nas od szczegółowego zastanawiania się nad składnią rządu. Nie możemy jednak nie zwrócić uwagi na Rozdział IV, o używaniu liczebników, które są w naszéj grammatyce probierczym kamieniem bystrości umysłowéj zajmujących się tą nauką. Lecz i w tym rozdziale omijamy rozróżnienie *rzeczowników liczebnych* i *liczebników rzeczownych* (str. 40 i 41), tudzież zagmatwanie wynikające z ciągłego powtarzania wyrażeń nieoznaczonych „liczebniki *używają się rzeczownie, używają się przymiotnie* (str. 45 i inne), oraz nietrafne objaśnienia przez domyślny wyraz *) (str. 44), zbiorowość (str. 45) i większy

tać, że jeżeli język polski, rzadkim w dziejach literatury powszechnéj przykładem, odrazu okazuje się pod piórem pierwotnych pisarzy ukształconym, to francuski przechodził różne stopnie udoskonalenia, od mowy całkiem teraz niezrozumiałéj, do obecnego obrobiénia i jasności, jaką się rzadko który język poszczycić może. To zaś swoje obecne udoskonalenie jedynie jest winien grammatykom. W pracach téż nad Grammatyką powszechną, Francuzi wielkie położyli zasługi.

*) W odpowiedzi na rozbiór I Części Grammatyki p. S. mówi: (Bibl. Warsz. T. XXIII, str. 75): „Tak więc błędną naukę Kopczyńskie-

stopień pewności wyrażenia (str. 45) takich sposobów mówienia:— *czterech braci było*, *dwóch nas było* (str. 44); *było nas dwie*, *były tam dwie kobiety* (str. 45) i t. p. Ale chcemy tylko słów kilka powiedzieć o liczebnikach formy nieoznaczonéj (str. 44, § XIV i dalsze).— Przez liczebniki formy nieoznaczonéj, autor rozumie liczebniki *niemające formy ani rzeczowników*, *ani przymiotników*; i do nich zalicza wszystkie liczebniki pierwotne, oprócz *jeden*, *sto*, *tysiąc*, *milijon* (str. 44). Liczebniki zatém środkujące między *jeden* i *sto* należą podług autora, do niemających formy oznaczonéj. Cechą formy przymiotnikowéj, w językach mających rodzaje, do których polski z innemi europejskiemi (oprócz tureckiego i węgierskiego) należy, są odmienne zakończenia rodzajowe, i te się w wyrazach *dwa*, *trzy*, *cztery* znajdują, skąd wynika, że je do formy przymiotnikowéj zaliczyć należy. Podobnież w wyrazach *pięć*, *sześć* i dalszych, przynajmniéj w 4tym przypadku widoczne jest odróżnienie zakończeń rodzajowych np. widziałem *pięciu ludzi*; kupiłem *pięć koni*. Z tego przeto względu i te liczebniki za mające formę przymiotnikową uważaćby należało. Jeżeli zaś p. S. przez wzgląd na dawniejszą tych liczebników for-

go o wyrazach domyślnych, *którą ja zniosłem w mojéj grammatyce*, recenzent wskrzesza." Czy to prawda, że p. S. zniósł naukę o domyślnych wyrazach? przekonać się można z następnych wyrazów grammatyki, Części II, str. 44. — „*Dwaj, trzéj, czteréj bracia byli ze mną*, albo jak zwykle się mówi: *dwóch*, *trzech*, *czterech braci było ze mną*. W tym razie liczebnik ze swoim podsądnikiem położony jest w przypadku 2gim, zamiast w 1szym i uważa się za dopełnienie *domyślnego imienia* zbiorowego *liczba*, *zbiór*."—Lecz domyślność wyrazów *liczba*, *zbiór* do wytłomaczenia przytoczonych sposobów mówienia jest nietrafnie zastosowana. Możnaby wprawdzie powiedzieć: *Był zbiór czterech braci; była liczba czterech braci*, albo też *byliśmy w liczbie czterech;* ale żadnym sposobem nie można mówić *Było braci zbiór cztérech*, albo *było braci w liczbie czterech* i t. p. Dodajmyż do tego wprowadzone rządy domyślnych pytań *którędy? kiedy?* o których nieco wyżéj była mowa, a przekonamy się, że p. S. nie zniósł w swojéj grammatyce nauki o domyślnych wyrazach, lecz przemilczał o niéj w składzie zgody, gdzie właśnie mógł tego środka logicznie użyć, a przeniósł najnietrafniéj do składni rządu.

mę, i przypadkowanie*), tudzież na ich rząd (wymagają bowiem drugiego przyp. licz. mn. *pięć koni*, *sześć domów* i t. p.) zechce im przyznać naturę rzeczowników, tedy i formy rzeczowników nie odmówi. Polskie bowiem rzeczowniki mają tak rozmaite zakończenia, że do każdego wyrazu liczbowego można dobrać rzeczownik z podobném zakończeniem. Np. *pięć* (pieczęć), *sześć* (cześć), *jedenaście* (przejście), *trzydzieści* (kości)**), *pięćdziesiąt* (kąt) i t. p.—Ale p. S. znalazł w grammatyce Grecza twierdzenie,***) że w języku, którego gramma-

*) Nie odróżniano dawniéj zakończeń rodzajowych w liczebnikach, zaczynając od *pięć* Np. „*A zezwawszy Jezus* dwanaście (zamiast dzisiejszego *dwunastu*) *Apostołów.*" *Leop. Cap.* 9. „*Naznaczył Pan i innych* siedmdziesiąt (zam. *siedmdziesięciu*) *i dwu.*" Leop. Przypadkowano zaś *pięć*, *sześć* i dalsze tak: *sześć*, *sześci*, *sześci*, *sześć*, *sześci*, *sześcią*, (w) *sześci;* i poczytywano te wyrazy za rzeczowniki rodzaju żeńskiego. Np. *Siedm'* kłosów *wyrastała* z jednego źdźbła bardzo pięknych, a *druga siedm'* także ze źdźbła jednego zwiędłych. *Leop. Gen.* 41.

**) Podług naszego mniemania, należałoby pisać *dwadzieście*, *trzydzieście*, *czterdzieście*, nie zaś *dwadzieścia*, *trzydzieści*, *czterdzieści*. I w takim razie równie łatwo byłoby dobrać do nich rzeczownika z podobném zakończeniem w liczbie pojedynczéj, jak i do wyrazów *jedenaście*, *dwanaście*. Lecz nie możemy tu rozwijać naszego mniemania. Na to trzebaby oddzielnéj rozprawy, obejmującéj wykład stopniowego tworzenia się form liczebników polskich.—Przyjmujemy więc formę zwyczajną ze zwyczajném jéj objaśnieniem, tojest, że *trzydzieści* znaczy *trzy dziesiątki*; i dlatego przydajemy temu liczebnikowi rzeczownika w liczbie mnogiéj.

***) W odpowiedzi na rozbiór I Części grammatyki p. S. oświadcza (Bi. War. T. XIII, str. 72), że niezaniedbał radzić się grammatyków Grecza i Wostokowa; nawet z Wostokowem w dalszym ciągu swéj odpowiedzi wielokrotnie się przechwala. Lecz ażeby tych grammatyków radzić się korzystnie, trzeba ich dzieła dobrze rozumieć. Gdyby to u p. S. miało miejsce, tedy powziąłby i z nich dokładne wyobrażenie o używanéj dawniéj w polskim języku formie wyrazów *ukrzyżowan* i *pogrzebion* i o ich różnicy od *ukrzyżowany*, *pogrzebiony*, i wiedziałby dla czego do wyrazów *ukrzyżowan*, *pogrzebion* nie trzeba dodawać *jest* dla utworzenia odpowiednika; o czém

tykę ten autor pisał, liczebniki odpowiadające polskim *pięć*, *sześć*, *dziesięć* nie mają *oznaczonego rodzaju*. Że zaś tego postrzeżenia, nie można było do polskiego języka zastosować, gdyż *pięciu*, *pięć*; *sześciu*, *sześć*, mają rodzajowe zakończenia, przeto powziął myśl nieszczęśliwą utworzyć oddział liczebników polskich, nie mających *oznaczonéj formy*. Postrzegł się wprawdzie p. S. w niestosowności swego pomysłu, czego dowodzi uwaga o liczebniku *pięćdziesiąt*, umieszczona na str. 47, którą autor zaczyna wyrazami: „Zakończenie *rzeczowne* albo raczéj *przysłówkowe* na *ąt*...” To więc jego własne wyrażenie się powinnoby naprowadzić na myśl, że przynajmniéj liczebniki *pięćdziesiąt*, *sześćdziesiąt* mają formę oznaczoną rzeczowników, albo, jeżeli tak chce, przysłówków. Ale p. S. wolał pozostać z sobą samym w sprzeczności, aniżeli wyrzec się raz powziętego pomysłu.

W rozdziale VI, pod napisem „Składnia szyku” autor rozprawia *o jasności mowy* (§ LIX, str. 57), o prawidłach ściągających się *do harmonii* wyrażenia (§ LX, str. 58), tudzież do *mocy* i *dobitności* (§ LXI, str. 58 i dalsze); co wszystko właściwsze sobie mogłoby znaleść miejsce w nauce „o stylu” zaczynającéj się na 91 stronicy; istotne zaś przepisy składni szyku, to jest, *zasady grammatycznego szykowania wyrazów* przeniósł nie wiedzieć dla czego, do Rozdziału VIII, § LXXV, str. 75, gdzie jest mowa *o przekładni*. Odwrotny w tym względzie porządek byłby bardziéj logicznym.

W rozdziale VII, p. S. podawszy definicyję tylko złożonego okresu, wynalazł szczególny sposób objaśnienia okresów prostych, czyli niezłożonych. Wprowadził bowiem na ich miejsce *zdania okresowe* (§ LXIV, str. 63); a nie mogąc z niemi dać sobie rady, przywołał do objaśnienia *orationem tractam* (str. 63). — W grammatyce polskiéj zgoła nie idzie o to jak się „*takie połączenie zdań okresowych na-*

szeroce, ale opacznie rozprawia na str. 79 swojéj odpowiedzi. A co się tycze wyrazu *umarł*, gdyby p. S. chciał zajrzeć do dawnych pomników języka polskiego, toby się przekonał, że przy imiesłowie, który teraz przybrał formę czasu przeszłego, kładł się wyraźnie łącznik *jest*. Np. I rozdzielił (Bóg) światłość ode ćmy, i *nazwał jest* światłość dniem, a ćmę nocą.... *I stało się jest* tako. Bibl. Jadwigi.

*żywa u Łacinników*" ale o to jak je Polacy rozumieć i nazywać mają. Wreszcie jeżeli autor przypuszcza *jednozdaniowe okresy*, *) tedy całkiem niepotrzebnie gmatwa wykład nauki wprowadzeniem *zdania okresowego*. Lecz ulubiony to jest sposób naszego autora, iż chce wszędzie okazać bogactwo naukowéj nomenklatury, choćby ta miała być tylko igraszką wyrazów. Tak więc na wzór *rzeczowników liczebnych* i *liczebników rzeczownych* (str. 40 i 41) utworzyły się *zdania okresowe* i *okresy zdaniowe*. W tym także celu nieraz widzi nowy pomysł i nowe wyobrażenie, gdzie go całkiem nie potrzeba; czego przykład przedstawiają *zdania włączne* (str. 13), które niczém innèm nie są, jak przekładnią wyrazów w zdaniu, lub zdań w okresie. Ale nie mógł p S. tego przenieść, aby mówić o samych tylko zdaniach *nawiasowych* i dla tego przyłączył do nich włączne. Ztąd wynikła znowu dziwna uwaga o *zdaniu nawiasowém* (str. 13). „W drugim zaś przykładzie *zdanie nawiasowe*, umieszczone wśród zdania głównego, może być opuszczone; bo *nie ma żadnego związku ze zdaniem głównèm*, w które jest wtrącone." Jak-to zdanie nawiasowe w przykładzie: „Nie ubóstwo, *mówił mi ojciec*, ale niecnota upadla i hańbi", żadnego związku nie ma z głównèm. Tu opuszczony jest tylko spójnik, który da się przywrócić i w takim razie nawet zdanie nawiasowe, stanie się głównèm: *Mówił mi ojciec*, że *nie ubóstwo, ale niecnota upadla i hańbi*." Jest przeto, w przytoczonym przez autora przykładzie, związek między zdaniami, jeżeli nie grammatyczny, to przynajmniéj logiczny. Logik powinien go był postrzedz, a nie wmawiać uczącym się, iż zdania *żadnego związku* z sobą nie mające mogą się łączyć w okresie.

W tymże rozdziale VII, są jeszcze zamieszczone przepisy użycia znaków przestankowych. Lecz między niemi wiele jest niedokładnych, niedostatecznie przykładami objaśnionych a nawet błędnych. Tak np. mówiąc o użyciu średnika (§ LXIII, str. 68) w przepisie 1m, autor ogranicza się takiém wyrażeniem: „W okresie służy (średnik) do oddzielenia części pierwszéj okresu zwanéj poprzednikiem, od czę-

*) *Jednozdaniowe okresy* wciąż po sobie idące, stanowią styl ucinkowy (str. 91).

ści drugiéj zwanéj następnikiem." Tu, na wzór przepisu 1go o użyciu dwukropka, należało dodać: „gdy pierwsza lub druga część jest porozdzielana przecinkami." Bez tego bowiem warunku, dostateczny jest przecinek do oddzielenia następnika od poprzednika. Np. *Wiatr się wszczyna, nie odbijajmy więc z łodzią od brzegu. Nikt się chełpić i wynosić nie powinien, bo każdy upaść może.*—W paragrafie obejmującym użycie przecinka, w przepisie oznaczonym literą *f* na str. 68, są takie wyrazy: „Zdania włączne *albo* nawiasowe piszą się między dwoma przecinkami, np. *nie ubostwo, mówił mi ojciec, ale niecnota upadla i hańbi.*" Tu należało koniecznie dodać przykład na zdanie włączne. Inaczéj bowiem, zwłaszcza przy mylném użyciu spójnika *albo* zamiast *i, tudzież* (*zdania włączne* albo *nawiasowe* zamiast *włączne* tudzież *nawiasowe*) możnaby zdania włączne i nawiasowe wziąść za jedno i toż samo; coby się sprzeciwiało ich rozróżnieniu umieszczonemu na str. 13. — Gdyby nakoniec autor zadał sobie pracę w wyszukaniu przykładów, mających wyraz *co* użyty zamiast *który*, nie popełniłby błędu utrzymując, że w takim razie przed *co nienależy kłaść przecinka* (str. 68, koniec uwagi 1). Główna bowiem zasada przecinkowania polega na tém, aby każde zdanie jedno od drugiego było oddzielone jednym ze czterech znaków stopniowane przestanki oznaczających. Że zaś wyraz *który*, zwykle zaczyna oddzielne zdanie przydatkowe określające, zatém przed nim równie jak i przed zastępującym go *co*, przecinek kłaść należy. Co tym bardziéj autor zachować był powinien, że nawet zdania skrócone przez zamianę ich na imiesłów osobliwy czyli przysłówek i do jednego tylko przywiedzione wyrazu, każe oddzielać przecinkami: „Ojciec, *westchnąwszy*, zawołał (str. 66). — Czuli potrzebę oddzielania przecinkami zdań mających *co* zamiast *który* znakomici nasi poeci (w poezyi bowiem zamiana wyrazu *który* na *co* najwłaściwsze ma sobie miejsce), np. *Po chwili ćmy czarne ustaną,* co *noszą noc nie przespaną.* Kochanowski.—*I wlać mi chciałeś jakąś duszę śmiałą* co *się chce przedrzeć do samego Pana.* Karpiński.—A jeżeli się ich radzić panu S. nie chciało, niechby przykład umieszczony we własnéj grammatyce na str. 70, przerobił kładąc *co* za *który*: „*Zazdrośnik jest podobny do żelaza*, które *się* lub co *się własną rdzą trawi,*"

a przekonałby się o mylności swego prawidła. Te i tym podobne błędy, stąd wynikły, iż p. S. lekce sobie ważył główne zasady przecinkowania, których brak jest zupełny w rozważanym dotąd rozdziale.

Rozdział VIII zawiera naukę o *postaciach grammatycznych* i zdaje się zamykać część II grammatyki; bo następne oddziały, zaczynając od *Nauki o postaciach retorycznych*, są już bez liczb rozdziałowych.—Tego rozdziału paragraf LXXVI (str. 75) zawiera rozróżnienie postaci grammatycznych od retorycznych, na mylnéj zasadzie oparte. Oto są słowa autora: „Ta jest różnica między postaciami grammatycznemi a retorycznemi, że w pierwszych najwięcéj idzie o jasność, w drugich zaś o moc i dobitność, a nawet o wdzięk i urozmaicenie mowy. Tak nazwane postaci grammatyczne *wyrzutnia*, *dodatnia*, *zamiennia* i *przenośnia*, mianowicie w takim sposobie użyte, jak je autor pojmuje, nigdy się nie mogą przykładać do jasności mowy. Na nich zyskuje harmonija, moc, dobitność, wdzięk i tym podobne własności wyrażeń; ale zawsze to się dzieje mniej-więcej kosztem jasności, która właśnie jest jedyném ograniczeniem w użyciu postaci. Łatwy na to dowód. Nieraz się zdarza, że uczący się znalazłszy przytrudne miejsce z powodu użycia postaci, które nasz autor nazwał grammatycznemi, żąda od swego przewodnika objaśnienia. Cóż w takim razie czyni rozsądny nauczyciel? Oto wyrazy opuszczone dla związłości mowy—dodaje; dodane dla ozdoby—odłącza; zamienione dla żywości stylu — zastępuje właściwemi; poprzekładane dla harmonii lub mocy—porządkuje podług zasad szyku grammatycznego: i takim sposobem przyprowadziwszy wyrażenia do najprostszéj formy; miejsce utrudnione z powodu nadania mu harmonii, mocy, związłości i t. p. zamienia na jasne. Czynność ta nieustannie prawie powtarza się przy początkowéj nauce obcych języków, a mianowicie łacińskiego. Oczywistą więc jest rzeczą, że celem postaci grammatycznych nie może być jasność.

Mówiąc o postaciach grammatycznych, nie możemy nie wspomnieć i o retorycznych. Widać że autor naukę o postaciach obu rodzajów chciał połączyć nie tylko przez proste tuż po sobie ich umieszczenie, lecz i przez § LXXI, zawierający ich rozróżnienie na mylnéj oparte

zasadzie. Lecz dla czego postaci retoryczne oddzielił od nauki o stylu, gdzie one zwykle zajmują swe miejsce? Na to innéj odpowiedzi dać nie umielibyśmy, jak tylko, że autor chciał przyprowadzić naukę o stylu jedynie do zbioru nazwań rozmaitych gatunków stylu; co, wyznać potrzeba, dobrze mu się udało. W postaciach téż retorycznych p. S. dał dziwny przykład spolszczenia obcych wyrazów. *Hiperbolę* (str. 77) nazywa inaczéj przesadnią. Przesada nie jest ozdobą pisma, ale jego wadą. Chybaby więc nadużycie hiperboli nazwać można przesadnią, którą właśnie widzimy w następnym u autora przykładzie (str. 78): „Gdyby gorzał świat cały, potok łez co płynął z jéj oczu, zdołałby wygasić pioruny nieba i pożar ziemi."— Ale jak można nazwać *przesadnią* te piękne wiersze Kochanowskiego :' (str. 78).

Żaden ojciec *podobno* bardziéj nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziéj nad mię nie żałował?

Oddział „O wierszowaniu" (str. 83), chociaż wielu zarzutom ulega, jednak cieszy to nas, że nowa miarowa poezyja polska, znalazła swe miejsce w książce p. S.

Zamierzywszy na samym wstępie szczególniéj zająć się grammatyką, wolni jesteśmy od szczegółowego rozbioru „nauki o stylu" (str. 91). Jest ona wprawdzie krótką, bo tylko sześć i pół stronnic zawiera, jednak mieści w sobie wiele rzeczy, które zarzutom ulegają. Jest to zbiór samych nazwisk rozmaitych gatunków stylu, bo autor chce się wszędzie najbardziéj popisać z obfitą nomenklaturą. Dosyć jest dla przekonania się przejrzeć § VIII, na str. 95, pod napisem: „Różne nazwiska stylu"—których nie małą liczbę autor wypisał.—Dodać także potrzeba, że tenże napis mógłby posłużyć i dla innych paragrafów. Nawet zalety i wady stylu wyliczone są najbardziéj w tym celu, aby z nich w napisach nad przykładami, można było z łatwością tworzyć nazwania różnych rodzajów wysłowienia. Jeszcze więc raz pytamy się, jaka korzyść dla nauki z nagromadzenia nomenklatury? Czy nazwanie *styl demostenesowy*, *cyceroński*, *tacytowski*, styl *Rasyna*, *Krasickiego*, *Sniadeckiego*, utworzy u nas *Demostenesów*, *Cyceronów*, *Tacytów*, *Rasynów*, *Krasickich*, *Sniadeckich?* Czyż niepożyteczniéj byłoby zmieniając tytuł „*Nauka* o *stylu*" na „*Nauka stylu*"

podać praktyczne zasady budowy okresów, ze względem na jasność, harmoniję i piękność wysłowienia? Tu bardzoby się stały pożytecznemi w liczniejszych nawet przykładach okazane sposoby nadania okresowi jedności grammatycznéj, tak często zaniedbywanéj w wysłowieniu; — tudzież sposoby zwięzłego wysłowienia się w polskim języku przez skracanie zdań przydatkowych za pomocą rzeczowników słownych; oraz oznaczenie właściwego miejsca dla imiesłowów osobliwych, czyli przysłówków na *ąc* i *szy* zakończonych, i dla zaimka dzierżawczego *swój*; także zasady kilkakrotnego powtarzania w okresie wyrazów *który* *), *jego*, i t. p. Tuby nareszcie miały swe miejsce *postaci*, jako środki nadania piękności wysłowieniu. Ale p. S. powie, że to wszystko do grammatyki należy. Czemuż tych szczegółów w swéj grammatyce nie rozwinął i przykładami nie wsparł? Nie śmiałe o tém wszystkiém wzmianki, i to najczęściéj w uwagach umieszczone, bez dostatecznego rozwinięcia i wsparcia przykładami, nie są dostateczne dla uczących się sztuki pisania, zwłaszcza przy jednoczesném uczeniu się innych języków. Będą one dla nich tylko echem powtarzającém, że się to zdarza w polskiéj mowie, ale *gdzie? jakim sposobem?* i *dla czego?* tego ich nie nauczą. Naszém zdaniem książka Królikowskiego pod tytułem „Proste zasady stylu polskiego" jeszcze w 1826 roku wydana, nierównie byłaby pożyteczniejszą dla uczących się, niż „Nauka o stylu" pana S.—Dla czego też p. S. trapi się rozwiązywaniem takich kwestyj jak np. „*Czy styl więcéj zależy od myśli, czy od wyrażeń*", kiedy o nich to tylko umie powiedzieć „*iż trudno osądzić.*" (§ IV, str. 93). Nam jednak zdaje się, że łatwo. Przepisy stylu myśli nie dają; tworzą je wrodzone zdolności piszącego i nauka; a zaś prawidła stylu mają na celu wysłowienie myśli już gotowych. Tak przynajmniéj sam autor styl pojmuje—mówi bowiem w § 1, str. 91: „*Przez styl rozumiemy sposób wyrażenia swoich myśli i uczuć w mowie ustnéj i pisanéj.*" Styl więc, jako *sposób wyrażenia myśli i uczuć* zależy nie na myślach, lecz na

*) Naucza p. S. (Gram. Część II, str. 58), że przykrém jest dla ucha częste powtarzanie zaimka *który*, zwłaszcza w ciągu okresu *coraz to w innym przypadku*. Przypadek zaimka *który* w ciągu okresu może być zmieniony, z warunkiem iżby *ten wyraz do jednego i tego sa-*

wyrażeniach; ale tylko do myśli i uczuć już gotowych umiejętnie powinien być zastosowany; i na tém właśnie polega całe zadanie nauki stylu.

Kończąc rozbiór téj części książki p. S., która właściwie jego jest dziełem, zwracamy jeszcze uwagę na przykłady do prawideł, które nie zawsze z przyzwoitością dobierane były. Dla dowodu, kilka bardziéj rażących przytaczamy:

„Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami. (str. 23).
„Francuz wymyśli, Niemiec zrobi, a Polak... kupi (str. 79).
„Wyszedł na dudka, wykierował się na pana. (str. 6).
„Kto chce być mądrym niech się stanie głupim, aby mądrym został. (str. 6).
„Niech mówią i czynią co chcą głupi, umiejętność będzie zawsze w cenie. (str. 52) i t. p."

Co się tycze części obejmującéj „Przykłady stylu" jużeśmy o niéj na początku powiedzieli, że wartością swoją przewyższa sámo dzieło p. S. W rzeczy bowiem samėj zawiera wypisy z lepszych (z małym wyjątkiem) dawnych i nowych pisarzy. Zdaje się jednak, że nie wszystkie wyimki są stosownie do téj książki wprowadzone. Tak np. dla uczących się czy to płci męzkiéj, czy żeńskiéj, w téj epoce ich życia, kiedy się jeszcze grammatyki uczyć mają, zdaje się, że zawczesną jest rozprawa *o przyczynach nieszczęśliwych małżeństw*, chociażby nawet ta rozprawa była pióra Eleonory Sztyrmer (str. 136).

Przebiegliśmy tedy obie części książki, któréj rozbiór był zamierzony. Teraz niech nam jeszcze będzie wolno powiedzieć słów kilka o *Odpowiedzi p.* S. na rozbiór pierwszéj części Jego grammatyki (Bibl. Warsz. T. XXI, str. 507 i T. XXIII, str. 67). W niéj, na samym wstępie objawia p. S. że *został wyzwany do walki.*—Broń Boże! a któżby to śmiał wyzwać takiego harcerza jak p. S., u którego na pogoto-

*mego ściągał się rzeczownika.* Sądzimy, iż pomimo zmiany przypadku wyrazu *który*, p. S. nic nie będzie miał do zarzucenia temu okresowi „Cóż to za człowiek, *który* prawodawcom podaje zasady rządu,..... i *którego* wyższość tak jest powszechnie uznana, iż względem niego, równie jak względem ożywiającego nas słońca, nikt nie ma zawiści."

wiu tysiąc fortelów do zwalczenia przeciwnika? Niektóre z nich nawet są groźne i dla tego najczęściéj przez p. S. używane. Takiemi są: 1ód Dowodzenie przeciwnikowi, że on sam źle pisze; 2re Odpowiadanie na co innego, aniżeli się zarzuca; 3cie skargi na niesumienność.— Drugi z tych forteli jest wcale zręczny, i niekiedy nawet bawi; ale, mówiąc prawdę, nie przekonywa. Skarga na niesumienność tych tylko czytelników wzruszyćby mogła, którzyby nie chcieli lub nie mogli sprawdzić téj niesumienności w źródle. Lecz pierwszy fortel, to jest dowodzenie, że recenzent sam źle pisze *), że psuje język, narzuca mu obce formy, a jednak śmie rozprawiać o grammatyce, jest potężny, ale razem niebezpieczny, bo walczącego nim może okryć śmiesznością. Jakoż przy pewnych warunkach, przypominać może nowicyjusza szkolnego, który wzięty w obroty od swych wesołych towarzyszy, na ich dowcipne ucinki zaledwie zdoła płaksiwym głosem odpowiadać: *ty sam taki*, *ty sam taki*. W najlepszym zaś razie może dać powód do scen przypominających czasy Stankara i Orzechowskiego. Co do mnie, wolałbym zupełnie milczeć, niż się w nie wdawać. Jeżelim pisał rozbiór grammatyki pana S. tedy zrobiłem to w przekonaniu, żem powinien był to uczynić dla dobra nauki. Chlubi się p. S. *że jego książka wszędzie używana*, *że dotychczas nie ma lepszéj, a przynajmniéj za lepszą uznanéj* (Odp. str. 77). Wszakże nie pisałem rozbioru na wzór znanéj p. S. recenzyi, umieszczonéj niegdyś w Gazecie Warszawskiéj z podpisem J.; nie téż nie mówiłem ani o sposobach przez jakie stała się książka pana S. używana wszędzie, ani o dowodach wyświecających, czy to prawda, że jest za lepszą uznana. Toby się tyczyło osoby p. S. z którą ja nic nie mam do czynienia; mogę nawet mieć dla niéj osobisty szacunek. Ale grammatyka p. S. rzeczywiście wszędzie używana, a pełna, podług mego mniema-

*) Nie uważał jednak tego p. S., że wielka jest różnica pod względem wypracowania i stylu pomiędzy recenzyą, mianowicie do pism peryjodycznych pisaną, a książką do nauki młodzieży służyć mającą.— Pierwszéj uczący się grammatyki nie czytają, a światła publiczność wad stylowych nie przejmie; przeciwnie w książce do nauki przeznaczonéj, mogą one wrażać się w pamięć młodzieży i przez to stać się bardzo szkodliwemi.

nia, błędów. Czułem się przeto w obowiązku, w imie postępu nauki, przekonanie moje wypowiedzieć. Jeżeli jest mylném, sąd publiczny pokryje go lekceważeniem; lecz jeżeli prawdziwe, tedy choć w części położy się tama szerzeniom się błędu. Jeżeli kiedy p. S. w tymże samym duchu wykaże mi moje błędy, przyjmę to z szacunkiem, bo postęp nauki jest u mnie wyższym nad miłość własną. Sądził p. S. że imieniem Wostokowa, jednego ze znakomitych filologów słowiańskich, mnie upokorzy i wielokrotną jego wzmianką da mi wielką naukę.— Oświadczam, że gdybym tylko mógł, nie tylkobym szukał nauki we wszystkich europejskich dziełach, lecz i w rękopismach arabskich, mongolskich, chińskich, japońskich.— O jakże wiele jéj tam znaleźli nawet wielcy pisarze europejscy!

**T. K.**

## ODWOŁANIE.

### tyczące się Grammatyki p. S.

---

### Panie Redaktorze!

Po przesłaniu panu rękopismu zawierającego rozbiór części IIgiéj Grammatyki p. S., dostało mi się do rąk ostatnie Jego grammatyki wydanie, obu części razem w skróceniu. Żałuję, że się to nie pierwéj zdarzyło; bobyśmy sobie cokolwiek oszczędzili, ja pisania, a pan druku. Niektóre bowiem rzeczy, w tém wydaniu, sprostowane zostały. Tak np. przydana jest na swojém miejscu definicyja zdania (str. 37), opuszczone niektóre rażące przykłady i t. p. Czuję się więc przynajmniéj w obowiązku oświadczyć, że bynajmniéj nie mam prawa mniemać, iżby te sprostowania były skutkiem mojego rozbioru. Ale razem nie mogę zataić przed panem ciekawości, czy p. S. i w tych szczegółach, które sam sprostował, będzie mi zarzucał niesumienność? Miłą mi pan rzecz wyświadczysz, jeżeli dowiedziawszy się co o tém, i mnie zawiadomić zechcesz.

Zostaję z szacunkiem,

**T. Kurhanowicz.**

---

*Sprostowanie.*— Na str. 1009, w. ostatni, *czytaj* drobny, *zam.* dobry.